

# Powieść o udatym Walgierzu



STEFAN ŻEROMSKI

## Powieść o udatym Walgierzu

Na progu wyniosłym morza, gdzie sosny rumiane cień błękitnawy na jasne piaski rzucają, — oparły się wozy królewskie. Ustały zgonione konie, zarzęły się w piasku skrzypiące koła. Każę król rozbić szkarłatny namiot swój. Zwisła ciężka, złota frędzla zasłony, na wiotki piasek opadła. A przed zasłoną, na żerdzi głęboko wkopanej szeleści plemienna stanica, królów wojenny porporzec. Czterdzieści wnet stanęło stolów. Siadła pospołu drużyna bojowa. Siadł i najemnych gości tłum: Pieczeniagi i Waregi, Czechy i Morawy, za złoto żołdu zdradzające swój ród Nemety, Sasy, Bawary.

Na siedzisku wyniosłym rozpostarł się król. Szkarłat rodowy piastowski obleka jego tron i ziemię szeroko-daleko. Po prawicy i po lewicy ma król wiciądze swe, ojczyce ziemi.

Cieszy się król.

Pierwszy to raz od tyłu czasów wielki rostruchan podnosi. Bezcenne migają kamieńce, lśni złoto, gdy do ust niesie wino z za gór, z za światów. Na cześć drużyny pije. Krzyczy mu w ląd i w morze drużyna wieczną cześć.

Haw — białe morze. Pod sinym, dalekiem niebem chluszcze bryzgami fal, na niskie piaski dumne wełny wyrzuca.

Władacz wciąga nozdrzami wiatер słony, w siwą dalekość morskich potoków oczy zanurza.

— Na twoją cześć, głębokie morze! Na twoją wieczną sławę, święta, jedyna moja! — woła w płaszczyznę ziemi.

— Pieśni! — wzywa drużyna.

Wyjdzie z tłumy, gdzie czeladnicy, pacholy i posługacze wojenni, z pomiędzy chorągwi chłopskich — starców kudłatych zgraja. Siwy tłum. Zasiądą wokrag. Nastroją liry.

Śpiewają panu słowiańską, przedwieczną, wojnopamiętną pieśń. A pieśń jasnego pana za nogi obłapia, czołem mu bije.

A pieśń go woła...

Wsparł na mieczu łokieć, na pięści wielką głowę niezwyczęzony. Obrócił jasne oczy na dziady grające. Słucha. Słucha, jako ta pieśń uderzy w krzyk, pomstą pomstuje. Dym kłębam siwymi, ogień drżącymi jęzory wybucha z niej. Ku niemu leci, ku jego sercu z żelaza, ku pierśiom szlochającym tajemnie pod kolczą zbroją, co płaczu, jako żyw, nie zaznały. Krzemienie proc furczą, cięciwy w pieśni tej brzęczą i brzechwy lotnych strzał świszczą. Słysząc w niej płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewczek ledwie podrosłych. Hańba z niej woła ojcyców, za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenicę.

Czarna się dymi krew, co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopów nieznanemi broniami pobitych w paliszczach, kamienną ongi ciosanych siekierą, w warownych grodach pośrodku bagien i w tynach nad słodkimi wodami, gdy się z najeżdźcą piersią gołą o jego żelazną pierś siepali.

Wzdycha król. Ręką szarpie głównię mieczową. Krwawemi oczyma, w których ogień bucha i dym się kłębi, wodzi po ludziach.

Nagle się ucztą przerwie. Jeden drugiego pyta: czemuż to władacz sposępniał?

Postrzegł król ich milczenie i skinął ręką na gajki:

— Milczeć!

Porwie w lewą dłoń czarę, a prawą uściśnie jelca straszliwego koncerza. Wstaje olbrzymi. Ciało jego obleczone od stóp do głów w kolczugi sieć stalową. Kuta koszula

pancerna łni na ramionach, a płach jej mieni się i drży na wielkich piersiach. Stolica pod stopą żelazną trzeszczy. A w pięści zwartej sieczysty brzeszczot raz wraz szczęka.

I słowo wieszczę pada w tłum:

— Słuchajta!

Wodze, namiestnicy, i wy, chorągwie! Na śmierć piję Sasom, którzy na nasze ziemie przedwieczne idą. Abych ich, póki mego żywota, tym mieczem i waszym mieczem wyrąbał, zdradzieckiem żegadłem wyżgał, żeleźcem grotów przebódl, garścią zemściwą po ciemku wydusił. Ziemią, nagłym pożarów zagonem wiecznie za nimi chodźmy, rzekami będziwta tajemnie brodzić, w morze na łodziach zbiegniemy i na wałach bezdennych pod próg uśpiony podpłyniem. Złupimy miasta i sioła, spalimy siedliszcza do ostatniej przyciesi...

Okrzyk:

— Na śmierć Sasom!

— To wam zapowiadam wszem wobec: nie pozwolę grzebać trupów pobitych, gdziekolwiek Niemców dopadnę — w kraju Dziadoszan, czy na piaskach lutyckich. Niechaj z nich korazuny i gugelhauby, nabiodra i plechy nagolenne łupi ciura, trupy ich niechaj wilcy roznoszą po puszczech, sępy po skał grzebieniach. Niechaj nagi między zasiekami leśnymi leży palcgraf Burkhard i margraf Gero. Nie zazna czci, ani rozkoszy spoczynku w ziemi, która jest moja, Frydrych mąż żelazny, Widredy i graf Folkmar z dwiestą zwalonych rycerzy! Niech gniją u wierzchu bagna w potokach krwawych i w pyle! Na wieczną rzeczy pamiątkę zostaną niepogrzebani Adelhajt, Ira, Thietmar, Doda i Ludolf. Tak rozkazuję. A kto by się woli mojej sprzeciwił, przez Boga wiecznie żywego — biada mu!

Wołanie:

— Biada mu!

A skoro siadł, każe czeladnikom odpasac sprzączki skórzanych tłumoków i wywalić przed bracią wojenną zgarniony za Odrą łup. Sam rzuca w ciżbę głębokie czary i kruże ze złota, rogi i kielichy, sadzone paragonami bezcennej wody, dzbany z kryształu przejrzystego, jak woda, greckie amfory i szkatuły niemieckich majstrów, cudnie w metalu kowane. Między srogie zastępy w krzywoślepą hordę Pieczeniagów każe nieść w darze italskie arbalety, cisowe kusze, zaciągane lewarem z żelaza, hiszpańskie tarcze i krótkie piki. Pieszym chorągwiom chłopów, odzianym jeno w serdaki a czuje, w słyki z rogami i kły, uczynione z obłupionych łbów dzików i turów, wilków i lisów, uzbrojonym jeno w oszczepy z osękami, w rogaciny, w kamienne oksze na długich styliskach a wielkie na chłopu pawęże, szczodrze rozdaje czekany, barty i obuchy z żelaza, cepy kolczaste, smycze i arkany z surowego rzemienia. Konnym swym wojom każe nieść wielkie, obosieczne koncerze, radość serca męskiego, i cudne kapaliny z połyskliwego żelaza, miedziane nagłowne myśnice, czepki kolczaste, rękawice, płachy przedsobne i zasobne pancerczów. Rotom drabów najemnych sypie bez liku, garściami, srebro i złoto denarów kupieckich. A gdy tak szczodrze król wręcza dary każdemu ze swych rycerzy, każdemu ze swych sług do ostatniego pacholęcia, słycać od czat dalekich wrzaskliwe hasło rogu. Wszystkie się oczy w tę stronę zwróciły i jako czujne ogary pomknęły w las. Oto wyszedł z brodów orszak konny pod czatowniczą strażą i ku namiotowi pańskiemu podąza. Przysłonił wódz dłonią oczy i wilcze miota spojrzeń.

Aż znagła wstał.

Ciężko po stopniach idzie z tronu.

Zmierzały wprost ku królewskiemu stołkowi wielkie rycerze niemieckie, zakute w żelazo. Forgi wielobarwnych piór, jakoby obłoki na czubach krzesanic, chwiały się na wierzchołkach obłych szyszaków. Nieustraszone ślepie patrzyły zuchwale z widzierów hełmowych. Każdy miał prawicę żelazną na kładzie miecza, a lewicę ścisnął rękęję mizerykordyi. Ze środka ich, jakgdyby z zamczystego łona zastępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawami oczyma, z twarzą wykrzywioną od boleści. Nogi miał bosc i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żaloby uszyta. Pod nią wisiały strzepy mniszego habitu. Na głowie miał czapkę biskupią, w ręku biskupią krzywulę. Ujrzawszy w oddali majestat, stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż.

Wnet błada trwoga skupiła dookoła wodza drużynę. Opat-doradca przysunął się do pańskiego stołu i szepce:

— Panie!... Bacz... Święty człowiek idzie przeciwko tobie.

— Tenże to z Myśny?

— On. Patrz, płacze.

— Czegóż płacze?

— Płaczek on Boży. Kaprawy, patrz, z płakania. Bosy. Bez koszuli i bez nogawic zimie i lecie. A zamiast łoża pień ma bukowy, który był sobie wydłubał w tajemnicy przed ludźmi. A obwiedziony jest pień-łoże płotem z tarniny, żeby go kolce wyrwały ze snu. Głowę zaś, panie, układa na poduszce z badyłów róży dzikiej. Za dnia, gdy nań nie patrzy nikt, wdziewa na głowę mitrę biskupią z pnia drzewnego uciosaną, na której ze wszech stron ciężkie zawiesza kamienie.

— Czemuż to czyni, powiedz?

— Żeby go, panie, biły po głowie, gdyby się o sprawach żywota ziemskiego zadumał. Patrz, wielki królu, — na tobie zbroja złożona z łusek stalowych na skórę nieprzebitą nasytych, pod stopą twoją szkarłat bezcenny. A na nim gałgan zetlały! Wiedz o tem, panie. Zanim, posłuszny woli cesarskiej, po stopniach stolicy biskupiej poszedł, gdy w puszczy, w bratnim eremie przebywał, widzieli bracia na zemdlonym od twardej pracy, że przepasany jest łańcuchem żelaznym z kolcami, który mu w biodra wrósł, a skórę brzucha przetał i w otwartych wieczysto ranach gołych wnętrzości dotykał.

Duma król. Z głębi potężnych piersi wzdycha. Aż oto woła ku biskupowi:

— Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przede mną.

Szepce opat do ucha monarchy:

— Panie, ach, panie!...

Patrzy król pod przyłbice, w zawarte maski onego towarzyszków lwiami oczyma. W oczach patrzy ze straszliwym uśmiechem, jak między żelazy goreją.

— Wydam ci ciała poległych; z chwałą je chowaj w tej ziemi.

Pomruk złowrogi w drużynie. Spinają sprzączki żupic pancernych. Mocno przypasują obojczyki i blachownice, zarękawia i fartuchy kolczate. Nisko spuszcza przyłbice, żeby ocienić lica nanośnikami. Trzask słychać mieczów i pobrzęk cięciw. Pomruk głośniejszy w drużynie. Gwar.

Schyła się biskup, podnosi krzyż i błogosławi nim króla.

Postąpił król ku biskupowi. Ujął dłoń i powiódł w pokorze bosego ku złotej zasłonie namiotu. Orszak niemiecki za królem. A gdy komornik spuścił za nimi zasłonę, rozejdź się w obóz drużyna z gwarem złowrogim, z szepcem zemściwym. Zostali jeno na placu czterej.

Stoją w hełmiech zawartych. Jeden ma kamailek na głowie, szyszak z nanośnikiem, spadającym aż do brody, drugi i trzeci mają lambrekiny frankońskie. Paizę dzierżą na lewym ramieniu. Na wielkich mieczach się wsparli. Cierpliwie stoją. Długo czekają milczący. Aż ów na czele, którego głowę okrywa olbrzymi gocki szłom, Walgierz o dłoniach potężnych, o udach z żelaza a kolana z miedzi, uderzy głośno mieczem w puklerz.

Raz, drugi.

Cisza.

Uderzy Walgierz powtóre, z łoskotem.

Rozdzieliła się złota zasłona. Komornik.

Uderzy Walgierz Udały mieczem w puklerz potrzecie.

Rozdzieliła się złota zasłona.

Król.

Stoi między zasłonami z głową odkrytą, jasnowłosy. Ręka jego za pasem. W oczach zaduma. Patrzy ku czterem.

— Udały... — cicho wyszepta.

Milczą rycerze.

— Słuchasz, patrzysz, mierzysz chytremi ślepiami me sprawy. Wciąż mrok na twojej twarzy, a chmura na twojem czole.

— Wciąż chmura na mojem sercu!

— Wciąż cię pycha na rumaku oszalałym unosi. Wciąż ci strzyga o jednym zamku dalekim szepce po nocach?

— Dusza się moja wydiera do Tyńca, praojcowego dworzyszczca, do stolicy mej ziemi.

— Milcz o stolicy twej ziemi!

— Dawno, dawno już milczę. Nazbyt dawno już milczę.

— Bylebys nigdy nie zaczął przemawiać o tem, co na wieki minęło. Goście w moim obozie...

— Dziś będę mówił.

— Nie mów dziś nic, koniędzu!

— Dziś będę mówił pierwszy raz i ostatni.

— Pilnujże dobrze głowy!

— Oto me słowo: idę ze stanu z towarzyszami. Niech słyszą Niemce, że z obozu twojego wychodzę! W dziedzinę moją, w żupy wiślańskie powracam. Przed chwilą piłeś, wodzu, w dłonie nasze puhar rycerski na zgubę rodu Sasów. Zaprzysiągłeś zemstę żywym i trupom. A ledwie się pokazał bosy wróż, już się przelęknął haniebnie.

— Sądziś moje uczynki! Ja wasz jedyny sędzia i wódz! Ja życia i śmierci pan!

Śmieje się hardo Walgierz Udały.

Spojrzą po sobie z żelaznych oknisk wściekle oczy czterech rycerzy. Milczą żelazne ich usta.

Król rozkazuje:

— Zdejmijcie zbroje. Odpaszcie pasy. Złóżcie na ziemi paizę, a na nich miecze i włócznie w krzyż.

Spojrzą po sobie powtórę z żelaznych jam okrutne oczy. Milczą żelazne usta. Rozkaz królewski niespełniony.

Szarpie król pas. Porwie miecz. Klasnął w ręce. Biegnie ku niemu komorzych tłum.

— Rozkazał:

— Trąbić!

Zawrzasną rogi. Biegnie rycerstwo. Trzepie się ręka królewska ze stopni tronu nad głowami zuchwałej czwórky.

Rozkazał:

— Sąd! Szarpajcie ich w sztuki mieczami. Oburącz! Walcie w zdradzieckie piersi obuchy młotów!

Rozruch i zgiełk w drużynie. A porwać za koncerz, za młot nikt nie ma siły.

Nie zadrzał Walgierz Udały i nie uchylił głowy ni jeden z towarzyszków: Mściw, ani Wydrzyoko, ni Nosal wielkoramienny. Stali czterej przeciwko wojsku.

Wokoło żelazny mur rycerskich ludzi. Na silnych koniach kiryśnicy w zbroi zupełnej. Paizę na ich ramieniu rozsiały wszechmocną zgrozę, a drzewa włócznie pod pachami — czyhają. Daleko stanęły seciny pieszych chorągwi. Jasno srebrzone pawęże, wielkie na chłopa, stworzyły równy, śmiercią błyszczący tyn, co idzie daleko, daleko, aż do fal pianistych morza. Głowie dobyte z pochwy czeka na rozkaz, na cios. W słońcu głowie połyska. Napięte są cięciwy samostrzałów.

I rzekł w koło wojenne i w ulicę rycerską gromowym głosem Walgierz Udały:

— Drużyno polska, drużyno bojowa! Schodziłem z tobą, drużyno bojowa, ziemie saskie i ziemie lutyckie. Paliłem z tobą zamczyska i miasta. Tym oto mieczem rąbałem za dnia w boju męża, w żelazo okute. Tą oto dagą przeszywałem po nocy serca śpiących. A teraz, słuchaj, drużyno bojowa, szarpie mię słowy król, który me ziemie w szpony porwał. Szarpie mię w sztuki jakoby mieczem, przeszywa uśmiechy piersi moje jakoby puinałem. Znieważa król mnie, wiślańskiego koniędza, władzcę na Tyńcu i ponad całym światem rzeczonym od niezmiernych gór po łyse góry, pana wszech puszczy jodłowych aż po mazowszańskich piasków sosny. Bije król słowem twardszem od obucha okszy w piersi Nosała z za Dunajca, Wydrzyoka z za Pilicy i Mściwa z puszczy, gdzie się poczyna w ciemnościach bożych Czarna Nida. Słuchaj mię, królu polski! Mnie wiślańskiego władacza...

— Nie słucham cię, rycerzu Udały. Nie znam twej władzy i zakazuję ci zwać się panem świata wodnego, widni świętej, przez którą biała Wisła idzie. Zakazuję ci zwać się władczem puszczy. Obie oce moje sięgają za łyse i za niezmierzone góry, a ręce moje sięgają

w dalekie morawy. Moje są dunajce-wody bystre-głębokie, co ze śniegów się rodzą, i moje są strumienie, co z puszczy jodłowej płyną niskimi łąkami. Wziąłem ziemię, które swemi nazywasz, żelazną dłonią. Jam jest jedyny ich odziedziciel. Wydarłem cię z morawskiej pięści, ja wolny i niezwalczony. A przygarnąłem cię pod mój proporzec, żebyś nie leżał u cudzego progu i żebyś chodaka krzywoślepej dziczy węgierskiej nie całował. Uczyniłem cię rycerzem polskim, pozwałem cię i powiodłem na zwycięstwa przeciwko Niemcom, którzy są wrogowie na wieki wieków mego i twego plemienia. Ziemiom twym kazałem wrosnąć na wieki w moje ziemie. Siłom twym kazałem wrosnąć w moje siły, w moje ręce żelazne, w głos mego rogu, w połysk mojego pancerza. Moje siły są z waszych pancerzów i szczytów, pióra mego szyszaka wzdyma wicher waszego krzyku przed bitwą. Moje siły nie są moje nie są wasze, jeno są nasze. A siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekiustą, rzecz pospolitą...

Woła zuchwale Walgierz Udały:

— Królu polski! wychodzę z twojego koła, gdyż nie chcę służyć pod twoją stanicą. Jestem ci równy i władzy twojej już nie chcę dźwigać. Dotąd dźwigałem, a teraz nie chcę. Wracam na zamek, gdzie ojce moje od początku czasów władały. Ze mną Wydrzyoko, Nosal i Mściw. Każ mię porąbać mieczami, walić w me piersi młoty, bić w moje oczy z kusz. Nie chcę już Niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładzca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się Niemców wróża boisz. Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba!

Jak grom spada z wysokości słowo królewskie:

— Znam ja cię, władzco drewnianego zamczyska, hardy ojcowicu nędznej dziedziny! Widzę na wyłot twe myśli. Chodziłeś pod moją sprawą i w cieniu mego proporca na Sasy i na lutyckie siola. Łakome twoje ręce czerpały moje mienie, a oczy zdradzieckie wypatrywały moc moją. A teraz chcesz moc moją w swoim zawrzeć zamczysku, za tynem ją przyciąć i przeciwko mojej pięści wykręcić. Wziąłem cię za gardziel tą pięścią, gdyś był w broni skórzanej, którą ci z turzej skóry ciura uszył, a kowal żelaznemi nabił gwoździemi. Teraz odziany jesteś kolczugą z niemieckiej stali, którą z ramienia swego zwlokłem i tobiem z łaski dał. Ale przetnie miecz mój łuski...

— Na głowie mojej szłom pradiadów!

— A ty, Mściw! Ty, Wydrzyoko! Ty, Nosal! Dałem wam miasto wilczych szłyków zbroje rycerskie. Otworzę ja te zbroje nanowo! Znam ja nienasycone wasze gardziele! Znam piersi, pełne szału kłótni, a ślepia chciwe jak u sępów!

Ponuro goreją oczy towarzyszków Walgierza. Ręce ich na głowniach mieczów, na toporzyskach złożone — czekają. Zawarte milczą usta.

Uciekł w noc ciemną Walgierz Udały z obozowiska polskiego króla. Z nim Wydrzyoko towarzysz, z nim Nosal, a także Mściw. Puściła ich straż wolno (rzekomo zmorzona snem), a otworzyła im między hufcami drogę wolną drużyna bojowa (rzekomo otumaniona czarami).

Po mostach zrazu mknęli zbiegowie drewnianych, polską sztuką rzuconych na błota i sitowia, na trzciny, łąki i bagno. Gdy wyszli z obszaru wodzisk kaszubskiego pojezierza, w pierwszych na suszy siedliskach wyprowadzili z za zaworu rosłe wierzchowe konie. Odtąd już dniami-nocami pędzili w cwał. Ku ostrowcowi łysych gór, z mazowieckich równin wyrastającemu, była ich droga. Przeszyli leśne sosnowe puszcze, suche bory i światy piachów, minęli widnie jeziorne, przebrnęli w bród słoneczne rzeki, przesadzili strumienie. Aż ujrzał Mściw i pokazał daleko sine pasma na niebie. Wparli żeleźca w boki biegunów. Dopadli wskok jodłowych kniej. O ciemnej nocy weszli w nie szlakiem-bezdrożem. Kamień rudy, od wody stoczony z wysoka, zgrzytał pod końskim kopytem w suchym łożysku ruczaja, kiedy się darli pod górę. Drzewa wielkolistne, buki i klony, dęby i jarząby stanęły kołem. Kosmate, czarne ręce jodłowe przywitały strudzone ciała i zgonione dusze zbiegów.

— Teraz, — rzecze jeden, — już my na wiślańskiej, na ziemi. Niechże to naju szuka polski król.

— Ha-ha!

— Niechże ta szuka pilnie.

Zstąpili nad ranem w nizinę, ku łąkom zawilgłym od niecieczy, a utajonym w jodłowym pustkowiu. Rumiany kwiat górski przed oczyma ich po nadrzeczu strumienia. Zapach niewysłowiony płynie powietrzem. Ptaszący śpiew...

Ujrzą z leśnego pobrzeża dolinę, rozległą między puszciami. Góry nad nią z północnej strony wielobarwnym lasem odziane, góry z południa. Zachodnie wiatry odgania od doliny niskiej zasłona, jakoby sworzeń górski, a ode wschodu czernieje wyniosła macierz łańcuchów, wszystka w tumanie, we mgle.

Stanęli mężowie w strzemionach, nakryli dłońmi oczy od blasku rannego słońca, co się w wodach dalekich nurzało. Patrzą w dół. Góry przed nimi strome, góry okrągłe i pochyłe. Cudne błamy lasów, bezgraniczny ciąg puszczy, jakoby dym z ziemi wybuchły, płynie z jednego szczytu na drugi. Tam i sam osłonięta jest ziemia jeno pawłoką brzoźowych bugajów, co zstępują ku dolinie uroczej, tworząc widok piękności nieporównanej. A jeśli ma być widok jej przyrównany, to jedynie do widoku piękności piersi dziewiczych, gdy się przed stęsknionymi oczyma nagle odsłonią. Aż zakolyszą się od szlochania żelazne bary Mściwowe. Upadł w szeroką dolinę olbrzymi jego krzyk:

— Dolino moja... Da-dana!...

Spyta Nosal:

— Powiadaj, bracie, miana gór, boć miejsce to nama obce.

— Tam, widzisz, bracie, macierz tych gór, Łysica, w której ciemności bogi mieszkają i skąd czarna woda, Nida, płynie. A idzie woda Nida ztela aż do Wiślice, gdzie koniądz Wiślimir włada.

— Koniądz Wiślimir... — śmieje się cicho Walgierz Udały.

— Tamta, widzisz, bracie, siostrzyca — to Strawczana Góra, a za nią idzie Bukowa, a za nią idzie Klonowa. Nad siołem mojem włodyczem i nad jeziorzyskiem wielka i święta góra, którą czcili ojcowie miejsc tych osadźce, — Radgostowa. Strumienie tam płyną z wąwozów leśnych dołami niskimi w kalinach, w cierniach, w głogach. Słońce ranne szuka tam gwaru wód w głębokich trawach. A w środku owo, co łśni pod słońcem: — woda moja.

— Teraz, — rzecze Nosal — domowy próg...

— Teraz, — rzecze Wydrzyoko — zwleciesz, czleku, z ramion, z bioder a z nóg żelazne blachy, zawieszisz na kołku ciężki szczyt, odpasziesz długi miecz od siodła i drzewo sulicy w kącie postawisz.

— Teraz się, — rzecze Mściw — obleczesz, bracie, w ochopnię domową, albo się w kaftan skórzany odziejiesz, i pójdziesz w pachnący las na łów swobodny, na wesoly...

— Albo się w komorze zamkniesz żoninej...

— Każdy o dziedzinę się swoją przecie zatroska, co na łasce byle czyjej została, gdy my światami gonili, żeby w Sasa rogacinę ciskać, mieczem go w sztuki rąbać.

— Ej, dzieci! Podrosły... świat! Jako też... dzieci?... Jako też to ze świergoleniem na kolana z żelaza rozzute leżć będą, a wieszać się po ramionach, a włóczyć z kąta w kąt koncerz, co krwi tyle wylał...

Stał Mściwa stary dom, gniazdo pograniczne ziemi, na kamienistym wzgóreczku, przy brzegu wielkiego stawiska. Cztery wielowieczne lipy osłaniały jego czarny, gontowy dach. A z lewej strony skłaniała się ku ścianom przychylnymi konary wielka i bardzo stara grusza. Pień jej był rozsadzony, spękany. Widły konarów osnute małymi liśćmi. W dole ogrodu wyrastał modrzew osobny, uroczy, jasny. Przy drodze dwie wierzby splecione korzeniami, dwa obumarłe kadłuby, dwa puste wewnątrz korzyska, choć toczyły od lat z trzewiów swoich rude próchno na ziemię, to przecie ze ściętych czubów puszczały strzeliste badyle, żeby zaś chłopcom na wiosnę nie zabrakło puszczalek. Nad brzegiem wody wznosiły się niezmierne pnie bez gałęzi. To czarne olchy patrzyły wiecznie w przeczystą wodę. Wielka woda leżała w miękości pobrzeżnego sitowia, w zielonym łożu rozkoszy, które sama sobie stworzyła. Ku niej to biegle z gór parowy i dolinki, o których mówił Mściw. Smugi ich wysłane były cudnością traw, a w nich szemrały ciekoty leśnych strumieni i łąkowych poników. Tam to niepłoszone plectwo śpiewało dokoła wiosennych gniazd...

Białe wodne lilie otwierały to tu, to tam kielichy na płani jeziornej. Wyniosłe pędy sitowisk schylały się nad ciemnym nurtem rzeki, która w płaszczynę stawiska wlewała

bystre wody. Błękitne ważki na przezroczystych skrzydłach snuły się nad tą ruchomą, wiecznie żywą, nieustanną wodą. Zdyszane od polotów nad głębiami, padały nadobnie piersiami na obły badyl sitowia i bujały pospołu z nim, pracą rannego wiatru kołysane. Mgły wstawały z topieli.

Mściw stanął pierwszy nad brzegiem. Zapatrzył się, zadumał... Odpasał rzemień szyszaka i odkrył kudłatą głowę. Ponurem spojrzeniem ogarnął towarzysze. Wzniósł dłoń na znak, żeby się żaden nie ruszał. Szepnął z pogańską trwogą:

— Cichajta! Wodnice ze spania wstają...

Wstawały z fal lekkie, śniado-białe zwoje. Nogi ich i powłoki szat jeszcze się kryły w topieli, a jasne kędziory cudnych głów dźwigał pachnący wiatr ponad kłęby lękliwej trzciny. W głębokim cieniu, pod urwistymi brzegami, znać było przezroczyste ich ciała, ich zmienne lica i oczy bławe a już za mgnienie żrenicy stawał się z nich jeno przejrzysty dym — i nic. Śniło się wojom, że z nich to, z mgieł, stają się ważki błękitne...

Cofnęli uzdy rumaków i poszli ztela w cwał, pełni dumania i czci. Wpobliżu Mściwa dom czerniał na wzgórzu. Ogromny jego dach i ściany stare stwarzały obraz swój żywy w porannej wodzie. Tyn z wielkich kłód, bitych na pał, a od wnętrza mocno spojonych płatkami, otaczał go ze wszech stron. Gdy mocno wiązane wrota obróciły się na biegunowych wierciejach i przed jadącym zastępem rozwarły, ujrzeli dwór. Stał przed nimi dawny, przedawny, zbity na moc, na siłę, z bierwion, kładzionych w węgły, na wieniec i na zamek. Przyciesie i same płazy były szerokie na cztery i na trzy piędzie, utkane w szparach mchem. Słoty jesienne i zadmy zimowe okryły je rudą polewą.

Zsiadł z konia Mściw. Uderzył radosnym ciosem we drzwi. Wnet się usunął zębaty wrzeciędz bukowy i uchyliły skrzypiące dźwirza, nabite jesionowymi kołkami. Zsiedli z koni przybysze i przekroczyli wysoki próg, schylając głowy pod niskim ocapem dźwirzowym. Stanęli w izbie czarnej, czuprynymi sięgając dymu, co wałem w górze stał grubym. Schylili głowy w niskim pokłonie przed ogniem pośrodku płonącym. Skłonili się potrzecie przed ogniem wiecznie radosnym...

Obrócił oczy Mściw ku światłu, padającemu przez dym z dziury szczytowej, — i szeptał pozdrowienie domowemu bogu. A pozdrowiwszy domowego boga, starł połą niskie, dookolne ławy z balów cisowych i prosił gości pokornie, żeby zasiedli.

Zdjęli rycerze kołpaki, ściągnęli z ramion blachy ciężkie, odpasali pasy i odsunęli broń. A skoro oczy do mroku domowego przywykły, ujrzeli z radością na ścianach ze smolnego drzewa, które był powłócił dym pokostem ciemnobursztynowym, starą praszczurów broń. Szerokie siekiery z bronzu i krótkie, zamorskie miecze, wielkie rogaciny bukowe i osęki, maczugi-bunkosze, śliskie od wielu dłoni, co niemi władały, szczyty olbrzymie, powleczone skórą zwierzęcą... Przedwieczne tam młoty na styliskach dębowych, uczynione nie wiedzieć przez kogo, za ojców, z głązu twardego kamienia, przeborowane pracą krwawą... Wielkie tam łuki i kołczany, pełne strzał o bełtach krzemiennych i bronzowych, zaprawnych śmiercionośnym ciemierem. Na wbitych w szpary kłach odyńców i na rogach turzyc, na wielkich widłach jelenich wyświechtane rzemień, uzdy zeszcłe od slot i upalów, siodła, popręgi, kańczugi plecione, pętle i arkany z kręconej skóry, a pieśń śmierci świszczące proce.

Poczną się z komór wychylać głowy nałożnych Mściwa żon, dziewczek. Radosny krzyk... Dzieci... Nie szedł ich witać Mściw, gdyż gości gościł. Wnet każe wynieść z lochu miodylipce, dymione półcie sarnie i dzicze, wnet każe dawać chleby precudne, słodkie kołaczki ze zboża w żarnach mielonego, co się na niwie przywodnej łońskiego urodziło roku, gdy on daleko wojował.

Hucznie uczują rycerze. Róg turzy, pełen miodu, z rąk do rąk idzie.

Hucznie uczują rycerze.

Piją koniędza Walgierza przezdrowie, co ich z obozu, z żelaznej garści królewskiej wydarł. Do dom ich wrócił, do komór żoninych, do kolebek... Chwałą rycerze koniędza Walgierza moc, mądrość, czyn i słowo. Wynoszą go krzykiem pospólnym ponad króla polskiego.

Tęgo a bez rachuby Walgierz pije. Chwali Mściwową dziedzinę. Wysławia ciche dolinki i jeziorzysko, pochyłe, zadumane góry, pole zorane i cichy sad, gdzie białe kwitną wiśnie. Wysławia Walgierz ojce Mściwa i czci ich świętą broń.



Długo trwa uczta, do ciemnej trwa nocy. Aż runął koniaźdz Walgierz na skóry niedźwiedzie, warstwami w kącie izby usłane. Kamiennym zasnął snem.

A o północy, o pierwszych kurach, padnie zmora na jego chrapiące piersi. Przydusi mu zmora potężne barki, jakoby zbójca kolany, a gardziel ściśnie kleszczami. Śni się sen.

Wypływa z pustki nocnej mgła-ważka, łateczka błękitna, co nad wodami w poranek się unasza, co na badyłach nocuje, na liljach wodnych śpi, — boginka cudnej postaci, dziwnej urody. Spojrzał w nią nagle rycerz Walgierz oczyma widzącymi i poznał ją w krzyku radości.

Cudki to żony twarz!

Oczy jej bławe, jak głębokość nieba i jak źródłana woda. Rumiane śmieją się usta. Senna rozkosz objęła głowę i otoczyła szyję. Rozkosz, której słowo nie wypowie, a śpiew nie wyda. Wyciągnął rycerz ręce przez sen ku pochyłym narcyzom, co we włosach odmienia tkwią, ku róży nieśmiałej na młodych piersiach. Aliści ręce jego wrośnięte są w głębokość ziemi, jak góry ciężkie, jak skały nieporuszone. Wołać na nią, krzykiem wołać!... Brak tchu. Padła na piersi wieszczycza błękitna, ważka ulotna, w to miejsce, gdzie serce wzburzone huczy. A padła, jakoby złom strzelistej w Tatrzech góry. Poczł koniaźdz ból przeraźliwy, bardziej nieznośny, niż od przeszycia nawskróś cienkim italskim puinałem. Pochwycić chce rękę, co mu zadała cios, pochwycić dłonią wojacką, ale jej ująć nie zdoła. Ma ją i nie ma jej wcale. Chwyta ją skurczem śmiertelnym, jakby nadwodną mgłą chwycił. Miota się w męce i strasznie walczy, niby pod nożem skrytobójcy a pod zegadłem siepacza. Aż oto słyszy błękitnej ważki tajny — tajny, do duszy mówiący szept:

— Walgierzu, Walgierzu...

— Cudna...

— Jam jest.

— Żono!

— Jużem nie twoja, — mówi, — żona.

Krew w żyłach krzepnie, a serce staje w biegu. Słowa się wymkną z pomiędzy skostniałych warg:

— Któżes ty jest, umiłowana?

— Wróc się, wróc...

— Dokąd mam wrócić?

— Wróc się, wróc...

— Czemu tak mówisz, żono moja?

— Jużem nie twoja, rycerzu, żona.

— Któżes ty jest, jasnowłosa?

— Walgierzu, Walgierzu...

— Cudna...

— Jam to jest dusza twoja.

— Ty jesteś dusza moja...

— Dusza twoja...

Spod głuchej męki wstał rycerz rano. Głęboki lęk ozionął serce upadłe i żal, niebaczny na wywody rozumu. Dokądkolwiek zawrócić wolę, nie ratunek się znajdzie, lecz wątłą mgłą obawy. Raz wraz przekosi duszę trwoga, jak dreszcz, co się z mokradel wylęga. Piersiom rycerskim brak tchu. Z ręki omdlałej czyn wylata...

Zatroskał się głęboko Mściw: pod jego dachem dziwożona piersi koniaźdz dusiła... Pod jego dachem gościa serce jest oczynione i od strzygi uczynek został zadany.

Siedli do rady towarzysze i ugwarzyli gorącym słowem, że trzeba, nie tracąc czasu, iść do wróża po odczynienie.

Szli tedy wnet wszyscy cztery we święte tęgobory, w puszcze Łysicy. Zdążali chyłkiem, żeby ich nie dojrzał świadek, a nie doniósł Niemcom z eremu, co u krańca puszczy siedzą. Brnęli woje brzegiem strumienia Czarnej Nidy, urodziwymi wadoły, wśród olch i świerków, po smugach mokrawiny, kędy się żywa woda w wysokich trawach kręgiem-kręgiem, wstęgą-wstęgą wije. A gdy się rozdzieliły strumienie i rozeszły, ten ku Strawczanej, a tamten ku wielkiej górze, ruszyli za środkowym, co po ostrych kamykach, po

rudych mchach z uroczym szmerem płąsa. Skacze tam strumień z weselem w głębi swego łożyska, bełkoce pośród koślawych pazurów jodłowych, biega zdyszany to tu, to tam na obraz młodego a zdrowego ogara.

Weszli za nim rycerze w pustoszą, w ciemną i głuchą knieję. Cichy wiatr nuci tam samemu sobie, kołysząc się w splawach jedli zielonych, co zwisają ku ziemi. Cichy tam wiatr, pachnący wiatr błądzi, stąpa, wzdycha w puszczy. Kiedyniekiedy sfrunie na trawy. A trawy tam mokre, wysokie, rubinowe spodem od ukrytej jagody, a wielobarwne po wierzchu. Trawy tam modre i rumiane, złote i białe od uśmiechów dobrotliwej matki, świętej Pogody.

Przywiążą wiciądze konie do pniów, odpaszą miecze, zdejmą skórzane kaftany. Strach pada w dusze.

Idą ostrożnie w głęboki bór.

Zwały na drodze ich, wykroty, doły. Tramy przed czasy upadłe gniją w wieczystym pokoju. Zwałił je wichur z zachodu lecący, straszliwe skoki Śwista-Pośwista, gdy, pędząc na wielkich koniach grzywiastych chmur z grzmiotem pod kopytami, a piorunem u lewego boku, deptał puszcze. Pod zgniłymi truchłami jodeł plenią się cudne bugaje młodocianych jodełek, chciwe na wodę, ciche potomki Lela-Polela. Olbrzymie głazy, obleczone w grube kożuchy mchów, we śnie tam śpią nieprzespanym. Szemrze wśród nich ukryty głos strumyka. Wiedzie pogwarem w górę a w górę, pod szczyt, jak młody wierny pies.

Aż oto we dwie strony odchylił się zwarty, jodłowy bór i ukaże się widnia polany. A na polanie buki niezmierne, buki głuche, buki piorunowe kępą samotną królują. Głowy ich, co burz tysiącem wzgardziły, zawždy we mgłach. Ramiona konarów krzyżują się pomiędzy sobą. Płaczą się twarde różgi i dotykają liście.

Z dała tu płyną podróżne chmury nocować na widłach konarów, owijać się o wielkie śniaty i śnić chłodnymi rankami o ziemi nisko rozległej. Z gałęzi buków rozchodzą się i zstępują w różne strony na garbatą i płaską ziemię dzikie, srebrnosiwie pawęże gradowe, posępne białe kudły śnieżyc i bure, senne kądziele dżdżu. Tam się w stałowych gałęziach hodują czerwone wstęgi piorunu. Pnie ze wszech stron otacza wielki tyn. Zaparte w nim na głucho wrót wierzeje.

Przyszli czterej do wrót i kołaczą z łoskotem, — raz, drugi, trzeci. A gdy raz trzeci kołacą pięściami, cicho się wrótnie rozsunęły na prawo i na lewo.

Święta przed nimi kontyna.

W cieniu buków starych-prastarych kryje się jej wysoki dach i ściany z cisowych śniatów. A wkoło niej trawy a trawy. Niedeptany, kwietny łąn, niwa bodze poświęcona. Kości tam koni Swaroga w ziołach bieleją. Grzbietu koni Swaroga nie dosiadł przenigdy człowiek. Nie okiełznał ich uzda jeździec, ani opasał popręgiem. Nie znieważył ich ramię kiścienia, ani dotknęło pogłaskanie. Nie obciążała ich przenigdy praca, ani ogłuszył zgiewek boju o ludzkie krzywdy.

Żyły tu wieczne rumaki w trawniku świętej Pogody. Wodę piły, gdy wola, ze źródlika wiecznie żywego Czarnej Nidy, co z głębin góry bije, a spod przyciesi bożnicy baniami przejrzystymi wytryska. Starość je do snu wiekuistego śmiercią uśpiła. W owych się ziołach, na puchach kwiatów, pod bukami układały spać z dobrowoli na wieki.

Swarog rozwiązał ich żyły, a piękne kłęby i lśniące łopatki w zwłoki gnijące zamienił. Lel-Polel obmył czystymi wodami z chmur na bukach osiadłych kości białe, krew struchlałą, a ciało zgniłe połączył z ziemią i niewidzialnymi drogami poniósł do głębokich korzeni bukowych. Świst-Poświst osuszył, co się ostało, i prochem życie rodzącym rozniósł po puszczy, a rozdał kwiatom i mchom.

Rogi tam, kręgi, piszczele lotnych nóg świętych jeleni puszczańskich, które na dni ostatnie starości przyszyły były paść się w ogrodzie — i, strudzone długością żywota, zasnęły u drzwi kontyny.

Kości tam białe i kielce wygięte wieprza dzikiego, co bezpiecznie przychodził z pustyni leśnej gnić pod progiem wysokim... Kości tam wilka, co stary i zapadłoboki, z żelazniami od głodu ślepiami, a pod okiścią zimową przemarzły, przywłóczył się na chwilę ostatnią...

Śnią ponad źródłem, co, jak serce w piersi człowieka, wiecznie w łonie ziemi bije, kępy dzięgielu. W pierzastych liściach rozkwitł kwiat. Tajemny kwiat, co tynem bezpiecznym

otacza dom człowieka od uroku czarownicy... Tajemny kwiat, co za dnia weseli widokiem swoim upadłe serce, a nocnym zapachem odgania cień chodzący dookoła węglów i niweczy wielki strach nocny pod strzechą.

Patrzą ku słońcu niezmrużonemi oczyma promieniste złocenie. Jasna ich moc za siódmą górę a za dziesiątą rzekę odgoni widmo złośliwe, jeno o świcie wstań, gdy jeszcze łąka rosą opita, rwij jasne główki złoceniowe i pilnie noś na sercu.

Pod ciemnym tynem, jakgdyby poblask na wodach zorzy wieczornej. Lecz to nie zorzy poblask na wodach, jeno ciemno-niebieskich dzwonek zatoka. Na powikłanych odnóżkach, jakoby na rusztowaniach ciesielskich, przedziwnej siły wiszą dzwony, w które ranna zorza dzwoni. Skłonią się barwicą swoją oczom przybyszów dzwony z zorzy porannej przez wiatr i słońce tkane. I pozdrawiają oczy przybyszów nadobne kwiaty plemieniu ludzkiemu przychylne, a darowują oczom tę barwę, której, ponad wszystkie inne, trwożą się dziwożony.

Wielobarwne motyle, rzekomo latająca łąka, snuły się nad kwiatami ssąc z nich tajemne pokarmy. Jaskółki śmigały żywo dookoła ścian bożnicy z piskiem, świadkiem radości żywota. Znosiły żer pisklętom do gniazd przytulonych u szczytu kontyny pod głowicami Swaroga. Szerokie, boczne podstrzesza świątyni pełne były gołębic gniazd. Gruchanie płynęło stamtąd dwiema żywymi falami. Płomienista wiewiórka przemknęła po gałęziach i skokiem znikła w szczytowym dymniku.

Jakoby na jej znak, na oznajmienie, stanął na progu dziad prastary. Kudły siwe pasmami spływały na jego ramiona, a biała broda na piersi. Przeraził i groźne oczy miotają ogień spod wielkich brwi. Zgarbiony był, wsparty na kij, w lachman odziany. W ręce dygocącej, jakoby z zimnicy, trzymał kazubek z osikowej kory, a rubinowe jagody sypały się z naczynia w trawę.

Ujrzawszy obcych, straszliwych ludzi, wejście sobą zaparł i rozkrzyżował ręce.

Rzekł Mściw pokornie:

— Wrózu, my swoi...

Milczał.

— Dziadu, patrz na mnie.

Spojrzał na niego wróż i długo przebija oszczepami oczu. Aż wyszepce:

— Krzyż na twej piersi.

— Krzyż na mej piersi, lecz w sercu bogi.

— Czegóż to chcesz?

— Żebyś z jednego spomiędzy nas urok odczytał.

Zwiesił dziad głowę na piersi. Duma. Mamroce:

— Odczytać urok...

Aż się nagle poderwie, jak jastrząb ugodzony strzałą. Krzyczy:

— Idźta borem-lasem ku widni, idźta do Niemców, co dzwonami straszonymi w knieję biją! Niechże ta woma urok odczytną.

Chwieje się jego stara głowa. Usta wykrzywia i oczy bielmem zawłóczy głęboki ból.

Splatają się koślawe, sękaty ręce. Śpiewa samemu sobie:

— Spaliły kloc...

Kloc stary, kloc wielgi, kloc święty w dymie, w dymie. Ogień go żre...

Pobiły żelaznymi broniami święte jelenie. Podusiły ptaki-krogulce. Gniazda zdeptały nogami. Zmaściły trawy końskim kopytem i wycięły kosą świecąca...

Święte buki wyrąbały do cna żelazną siekierą. Upadł na ziemię buk...

Zakołysał się, nikiej gałąź od wiatru. Pełne łez zamknął oczy. Zaszlochał:

— Świstu-Świstu-Poświstu...

Chodzisz stronami, borami a po górzystych wierchołkach. Grzmot lata po ostrych skałach, a wiatr maści lipy po górach. We wody pieron twój bije, w kamienie, w chałupy, w kostnice.

Pali, tratuje...

Przychodź...

Polelu-Polelu-Polelu...

Bij z wierchołka, z wysoka. — Strzelaj czerwoną procą!

Polelu!

Wyciągnął ręce w świat i począł wzywać:

Przychodź!

Wielgi, wielgaśny, okropny!

Latasz teraz turniami, po wysokich, po górach. Śmigasz po siołach, po wodach, po żaliskach dalekich.

Uderz we wielgie, we skrzydła, w szerokie!

Przychodź!

Bij krzywym nosem i rwij ostrym pazurem. Zakwicz, zaskowycz, zawyj, jako za ma-  
lemi wilczyca w kniei.

Rozdujesz płomyczek mały-maluśki, rozdmuchasz we skrzydło tyłośne, jako połać  
borowa od Jeleniej góry po Kamień.

Będziesz se chyba polatał nad dymem, będziesz se fruwał i wartko wiał krzyżami  
w ogniu, szubienicami po górach.

Będziesz se walnie tańcował we zgliszczach, w popiołach będziesz się bawił.

Będziesz poświstywał dadana-da w piecowiskach wyziębłych, da na wysokich, na gro-  
bach...

A gdy śpiew dziada stał się cichy, a gdy ręce jego w przestrzeń podane stężały, gdy  
oczy w przestrzeń wbite zastygły, — daleko — daleko — daleko zaszumiał górski bór.  
Rozszedł się w puszczy jodłowej osłuch wichrowego polotu. Zdało się tym, co słuchali, że  
głucha ziemia stęka od wielkich kroków, gdy idzie przez bory lasy wezwany wicher-bóg.  
Cięciwa jego łuku tęskny wydaje dźwięk, a kołczan pełnostrzały szeleści nad kniejami.  
Padnie na jedle, na modrzewie, na cisy i na sosny podmuch-szum. Poda go knieja kniei.  
Wzdyma się głos na górach, rozwija się, jako chorągiew bojowa, jako proporzec królewski.

Uśmiech na twarzy dziada.

A skoro buki, piastuny chmur, buki wzgardliwe, buki ponadleśne w harfiany głos  
uderzyły, padł na oblicze wróż. Kudły jego długie rozwiały się w badyłach traw i wpełzły  
pomiędzy kwiaty. Siwy włos okręcił się dokoła szypulek, zahaczył na odnózkach i ple-  
wach. I zstąpił powiew Świstu-Poświstu z gałęzi buków na wyniosłe, na liliowe, na białe,  
rumiane i żółte zioła. Zakolysał się kwiecisty lan. Westchnęła od wonnych szmerów, od  
laskawych szelestów, zagrała ze wszech strun łąka bodze poświęcona. A wonny powiew,  
jakoby dym szedł przez szerokość tam i sam, — ni to westchnienie, ni to pokłon, ni to  
uśmiech ocknionej dziewczyny w majowe rano, ni to załęknięcie starca, co wita wchodzącą  
w progi śmierć. I wraz z zagajem badyłów, wraz z wiotkimi kiściami tysiącznika, chwiała  
się tam i sam włosy rozwiane wróżowe.

Gdy zamilkł powiew i ucichł szmer, a trawy rozkołysane w ciszy natchnionej nieme  
i czekające stanęły, dźwignął się wolno dziad. Twarz jego jako u trupów, oczy nie widzą,  
jak za dnia oczy sowy. Zgrabiałe ręce szukają w przestrzeni. Zwróciła się skostniała twarz  
wróża w koniędza Walgerza stronę, a przepaściste oczy uderzą weń, jako krzemienne  
groty ślepych polotnych strzał. Szepcą uschnięte wargi:

— Woju wysoki...

Zła twoja, woju wysoki, dola.

Hej, bardzo zła twoja dola!

Słysząc, jak ziemia w głębokości nad tobą głucho stęka, a woda nad tobą szlocha.

Sława twoja głęboko wzdycha, — och, głęboko, a nisko twoja sława w lochach płacze,  
och, bardzo nisko...

Wysoko twoja chwala polata, szeroko, daleko wieje. A chwale twojej końca niema.  
Idź, woju mocny, do stoku, co haw ze ziemi bije, nachył się nisko, nisko nad wodą. I patrz.  
A skoro samego siebie zobaczysz, przypatrz się, woju, dobrze, żebyś, widzisz, samego siebie  
poznał po czasach...

Śmieje się w głos z bredni dziadowej.

Pędzi w cwał.

W konie! W stronę tynieckiego zamczyska, ku słońcu! Za nim dwaj towarzysze: Wy-  
drzyoko i Nosal. Miecze trzaskają w strzemiona, parska biegun wypoczęty.

W piersi Walgierza serce radośnie łomocze. Tęskno mu do Wisły-wody, do widoku gór o świtanie, gór, co daleko we mgłach błękitnieją. Obcą mu każda puszcza, długą mu każda droga, a ziemia zda się wielka nad świat. Kiedyniekiedy przemknie się w dreszczach cielesnych myśl uroczą, jak widok łąk wiślańskich w podwośnie:

— W cisowej komorze czeka, w cisowej Cudna żona śpi. W podziemiu jęczy koniądz żupy wiślickiej — Wiślimierz...

I przyjdzie wnet do ucha, nieczekany w końskim tętnie, słabego szept wietrzyka:

— Uczyni mu dobrze, woju wysoki... Puść mu winę z dobrowoli, a karę zaklętą skróć. Odemknij kluczem ciemnicę. Wyrwij słabego z kuny żelaznej. Weź-że go, weź w ramiona... Ugość go chlebem, napój go miodem. Zawrzyj z nim pobratymstwo na życie i śmierć przeciwko polskiemu królowi. Puść-że go, puść na koniu bogato siodlanym w Wiślicę, w starą ojczyznę...

Serce rycerza drży. Oczy się śmieją ku niebu. A myśl, jak zapach kwiatowy, dymi się w duszy:

— Takem zaiste postanowił. Tak mu uczynię. Przez twą przyczynę, Cudna żono...

Jakby w nagrodę za ową myśl, jakby w przedziwnem powinowactwie z postanowieniem, — rozchyla się het-het lasy szerokie. Wiślańskie łągi! Widać z wyżyny kwieciste, nieogarnione oczyma. Wierzby tam ponadwodziu rosochate, wikle się srebrzą w porannej mgle. Daleko dumają kępy sokorów, daleko w błękitach białe brzozy toną. W brzegach rozkosznych płynie połyskliwa Wisła-woda. Toczy się popod wzgórza okrągłe i chlupie w gliny żółte osypisk, toczy się popod skały wapienne i wstęgą błękitu ich białe stopy otacza. Wraca się w łąki i zanurza się w lasy... A nad nią krzyk wiosenny czajek. Na skale białej, na skale wysokiej zamek drewniany basztami w niebo strzela.

— Tyniec widać... — szepcą druhowie.

Weprą rycerze żeleźca w boki biegunów i sadzą wskok łąkami kwietnemi. Wpław płyną przez Wisłę-rzekę. Skoro zaś bystry koń strząśnie ze siebie wodę na brzegu, uderzy Walgierz w róg. Uderzy raz, uderzy drugi, w hejnał radosny, w dźwięk rodowy.

Padła z łoskotem brona nad rowem. Rozwarły się cisowe podwoje...

Cudna w nich żona!

Stoi we słońcu. Słońce w jej włosach jasno-białych nurza się, jakby w sobie samem.

Jakże jest piękna!

Promień słońca wiecznego, gdy spadł z niebios na ziemię, gdy ziemię czarną nawiedził i spoił się z nią uściskiem, — zaprawdę w nią się przemienił.

Nie wierzy oczom swym Walgierz Udały. Nie wierzy uszom swym. Uśmiecha się do widziadła sennego, do duszy swej, do wieszczycy na jawie stojącej.

— Tyś to jest zaprawdę dusza moja... — szepta samemu sobie.

Szybkimi kroki przypadła do strzemięcia rycerza. Ręce do jego żelaznych ramion wyciąga...

Dźwięczą bale lipowe w prastarej puszczy ciosane, pod ciężarem stopy żelaznej zadumanego, kiedy szepcąc, nie widząc, w komnaty zamkowe idzie. Szumią nad jego szyszakiem drzewa zamkowe. Pachną ku niemu z dziecięcych lat znajome trawniki. Chwieją się w jego stronę pławiny domowych krzewów.

Nie widzi nic, nie słyszy nic...

Och, szepty teraz ciche...

Tęsknota już skończona, już ukojone westchnienia i uschłe łzy. Już się oczy w oczach zamknęły, niby obłoki żeglujące od krańców świata — w głębinach jezior. Słowa nurzają się w słowa, usta nurzają się w usta. A każde słowo jest, jako dym kadzidła, każde westchnienie pada do kolan żony, do stóp się schyla, na twarz upada we czci, ślad jej całuje. Nazwy nieznanne, pogwary cudze, rzekomo z zaziemskiego języka spływają z warg. Wciąża rycerz oczyma rozkosz widoku sprzętów i szat żoninych, a ręką, drżącą od zachwyty, od szczęsnej trwogi, głaska długą, głaska jedwabną, rozpuszczoną burzę włosów.

Westchnął pocichu ze szczęścia.

Zakrył oczy, stanął i duma.

Duma o tem, że niewiadome moce dały mu oto taką chwilę. Duma o tem, że nie napróżno uszedł z obozu i polskiego zdradził króla, bo oto ziścił się sen, spełniła tęskna żądza. Dobrze uczynił... Duma o włosach żoninych, pieszcząc je ręką chciwą, i sen śni o jej oczach zaćmionych marzeniami, patrząc się w nie bez końca. Stał się bezsilny, dobry,

szczęśliwy, jak ptaszek leśny co na gałązce kalinowej śpiewa w boru. Stał się łaskawy, jak kwiat na błoni od wiatru kołysany.

Wiedzie go żona cicho, cicho...

Wiedzie go żona sennymi krokami. W tajne idą sienie, w alkierze, w bokowe świetlice. Do baszty, do baszty, gdzie z dawien dawna ulubiona izba ich otworem stoi...

Odpasał koniądz po drodze i rzucił na ziemię ciężki miecz. Zwalił z ramienia puklerz olbrzymi. Szybko pozdzierał rękawice żelazne, co lubej dłonie uwierają. Rozprzęga przędko sprzączki blachowic pancerza. Rzuca za siebie szłom, żeby nanośna stal pocałunkowi jasnych oczu nie wadziła. Już twarda przyłbica nie stoi między bezsilnymi czołami...

Aż oto próg miłosnej świetlicy.

Pozdrawia Walgierz oczyma rozkosznice-ściany i uśmiech szczęścia posyła ciemnej, bizantyńskiej kotarze.

Wstrzymał się u proga — w modłach duszy, jakoby w gęstym obłoku.

W owej to chwili rzuci niewidzialna ręka rzemienny stryk na jego szyję.

Zdusi pętlica gardziel rycerza.

Mrok w oczach!

Strach!

Płaty krwi, zielone krzyże, koła ogniste. Huk w głowie!

Runął olbrzymi Walgierz na wznak. Ciemno mu w oczach. Tchu niema!

Błysk myśli:

— Śmierć nagle moja...

Chichot nad nim żonin — i jeszcze czyjś. Przez bogi! — jeszcze czyjś... Cienki puinał przerażenia zwolna, nawskroś, idzie przez serce:

— Wiślimierz!

Pochwyił rycerz Walgierz dech w piersi. Straszliwy gniew szarpie się w sercu. Pierwszą myśl siępie z pochwy mózgu, jak miecz:

— Jeszcze się wydrę!

Ale nim oczy rozewrzeć, sto rąk skępuje mu ramiona i lędźwie rzemiennymi pętami, sto kolan przydusi piersi. Włoką go za bujne włosy. Wykręcili z jabłek ramiennych ręce obie i spolił łokcie rzemieniem! Spętali nogi w kostkach i kolanach, a w usta wbili z pakuł tłok skręcony. Ciągną go, dysząc, — tam — ku ścianie. Mamrot tłuszczy. Prędkie a krótkie rozkazy.

A w ścianę wbity żelazny słup.

Kuny przy nim zamczyste na ręce i nogi, okrągłe skoblice na gardziel i pod pachy. Sprawnie zamknęły nieudźwignione kajdany żelaznymi kluczami. Młoty ciężkimi zakuli na żywym, zdyszczanym cieple sztaby zagięte.

Zakleпали. Na wieki wieczne zakleпали. Na wieki wieczne zakleпали.

Dnie, noce, miesiące, lata...

Długo są dnie Walgierzowe, a noce są nieprzemierzone.

Zstępuje noc. Idzie mrok. Jak wilk zapadłoboki, wychylający się z lasu na łup, na żer, czai się mrok... Ciemność pracowicie zatyka wąskie szpary między prętami okiennych krat. Strach pełza po nagich ścianach, zgryzota się wałęsa z kąta w kąt, a bosa noga zmory, nogi z mgły stąpają w ciszy.

Rozsunęła się niespodziewanie wielka zasłona, którą był Walgierz Udały onego czasu na carogrodzkich kupcach zdobył. Blask ognia uderzy w oczy — i widok.

Tam, w głębi!

W głębi, na skórach niedźwiedzich, w boju na puszczy ręką Walgierza zabitych... Tam w głębi Cudna żona w ramionach leży zwycięzcy. Śmieją się w głos obydwójce pośród pieśczoły. Odwraca głowę Cudna żona i mówi w ciemności:

— Więźniu! Więźniu, czy jeszcze śpisz?

Kochanek dorzuci z krzykiem:

— Więźniu, czy śpisz? Zbudź się, ospalcze, i patrz!

Ów milczy, do żelaznego słupa podobien, na którym wisi z dawien dawna. Powieki się raz na zawsze zawarły i oczy patrzą w głębinę nieszczęścia, w jaskinię wewnętrznej ciemności. Wówczas Cudna żona rozepnie pągvice, zwlecze z ramion oświk, szatę zwierzchnią, a gźło rozchyli. Nagiem ramieniem otoczy szyję zwyczajcy. Śpiewa mu w czerwone usta miłosną piosneczkę, którą była mężowi dawniej śpiewała. A piosenka jest cicha, cicha, padwanek półszeptany, półnucony o leśnym ptaszku, o słowiczku i o gałązce nad wodą kaliny. Słucha Walgierz piosenki malej, w której, jakoby w kropli rosy, mieści się wszystek świat. A po każdym nawrocie padwanka, a po każdym pocałunku słyszy w ciemnicę swą zlatujące pytanie:

— Więźniu, czy śpisz?

Och, śpi. Zamknięte ma oczy na tryby tak twarde, jak twarde są ogniwa kajdanów. Głowa na piersi zwalona. Palce rąk twardej łańcuch objęły...

Wezmą wtedy oboje szczęśliwi lampę i zstąpią ku niemu z wysoka. Świecą mu płomieniem w oczodoły. Palcami mu dźwigają powieki mocno zawarte. A czynią tak dopóty, aż je otworzy i patrzy w nich ranami śmiesznych źrenic, plugawym wstydem oczu. Wtedy z nadmiaru uciechy chichocą oboje. Wiedzą dobrze szczęśliwi, że skoro się te oczy rozewrą, już ich zawrzeć nie sposób. Wiedzą, że będą bezsilnie na rozkosz ich patrzyły, póki nie posną od szczęścia znużeni.

A gdy oni posną wysoko, jego, leżącego tak nisko, otoczą widma bezsenne i zmyry wiecznie żyjące. Chodzi dookoła głowy zabitej widmo ciche, zmora-mgła, a nóż ma w ręce ostry, szeroki. Niemasz miejsca w duszy, którego by nie zraniło, niemasz chwili dawnej, ani chwili przyszłej, której by nie pokazało w lustrze ostrego noża. I tak długo, tak długo, póki się ranek nie włamie między kraty okienne i świat jaśnie litosnymi oczyma nie wejrzy w norę więzienną.

Gdy ranek śpiących w rozkoszy obudzi, siada Wiślimierz na posłaniu i ciska do stóp więźnia wzgardliwą kość jałmużny, kęs pożywienia z wczorajszego stołu.

Mocny jest głód.

Bardzo jest mocny głód.

Schyła się dumny rycerz i żre łaknącą żuchwą.

Pan pyta:

— Widziałeś szczęście moje?

Wrosły w łańcuchy nie mówi nic.

I słyhać jeszcze pańskie słowo:

— Skoro me szczęście uznasz dobrowolnie za prawe, uszanuję twoją sromotę.

Wówczas Walgierz Udały mamroce:

— Nie szanuj mojej sromoty, nie szanuj...

— Czemu, rycerzu?

— Albowiem, — rzecze, — jestem w kajdanach.

Lecz mówiąc słowa te, Walgierz drży w duchu i nieugiętą dłoń trwogi czuje na gardzieli. Smąga się batami słów dawnych, słów dumnych, słów rycerskich, byleby nie dojrzano, jak żebra drżą pod łachmanem. Maca w sobie wzrokiem ducha ranę, źródliśko wieczne, i krew broczącą nieustannie trwożnymi dłońmi osłania.

Wie, co go czeka.

Cudna śmieje się ku porankowi.

Wieniec z kwiatów nadwiślańskich kładzie na jasne włosy. Blisko, blisko podejdzie.

Wyciągnie ku niemu rękę małą i dłoń na czole schylonem położy. Zanurzy palce we włosy, rzekomo ku pieśczoćcie. Weźmie na usta dawny uśmiec, podobnie jak bierze na ramiona szatę tkaną, a wieniec kwiatów nowych na bardzo piękne włosy. Łagodnym szepem przedrzeźniać będzie imioniska pieśczoćtliwe, słowa-całunki i słowa pogłaskania, które mu niegdys w usta szepiała.

Wiślimierz wdzieje szatę wspaniałą z beczenną futra opuchą, szatę, co ją był Walgierz nosił za dni szczęśliwych. Otworzy Wiślimierz skarbiec naddziadów i świętości rodowe Udałego przegłąda. Jedne sobie zatrzymał, a inne rozdaje sługom.

Zeszli się słudzy, których był Walgierz w lochu trzymał, bezprawnie nogą popychał dla swej uciechy, psami szczuł z zemsty, pędził kiścieniem do pracy, jako bydło robocze.

Teraz go oni potracają szyderstwy, smagają batem drwiny, kásają zelżywem słowem i szarpiają nikczemną ręką. Najśmielszy będzie go posiepywał za brodę, targał za uszy, szczyptał w policzki. Najpodlejszy plunie z wysoka na jego spuszczone powieki.

A wtedy słyhać z wierzchnicy książęcej śmiech Cudnej żony.

Więc oszaleje na nowo, po raz stokrotny, po raz tysięczny głowa Walgierza. Wydarł się z piersi po raz stokrotny, po raz tysięczny wewnętrzny głos, głos, co warg nie porusza, co na podobieństwo krwi żywej płynie z rany włócznią zadanej:

— Przyleć w huku płomiennym, Świstu-Poświstu! Boże-rycerzu! Uderz w zhańbione oczy moje piorunem miecza i rozwal gromem czoło plugawe!

Wypal żagwią ognistą nędzną siłę widzenia! Niech już oczy moje nie widzą! Zagłusz nikczemne uszy gromem wojennym! Niech już ogłuchnę na wieki!

Zatop krynicę niewolniczych łez górnemi wodami, Lelu-Polelu! Niech już na wieki ustaną...

Nie przyjdą ku pomocy bogowie.

Jasny jest błękit niebios, trwa cisza, — a Pogoda udziela łaski swej Wiślimierzowi...

Tedy Walgierz przeklnie bogi i straszliwą zniewagę ciśnie w niebiosą. Zatrzasło się jego serce i zawarło, — mózg się wyrzucił. Ciało, skręcone w kłęb, popadło w bydlęcy sen, w sen niedźwiedzia, poszarpanego od psów.

Tak miną dnie, tak miną noce.

W godzinach zniewag, o każdej porze dnia, w każdym momencie wieczora Walgierz o jednym śni. O jednym śni...

Pociąga ramieniem łańcuch, pociąga łańcuch... A od pracy długotrwałej, niestrudzonej, stały się ogniwa łańcucha czujące tak samo, jak stawy, ścięgna i więzy ramienia. Wydłużyły się kości, rozciągnęły się żyły i przeszły w skręty żelaza. Dłoń czuje żyłami i zna kośćmi każdy ruch ogniwa, wie do cna siłę haków. Jest łańcuch, niby wydłużona, bolesna ręka. Myśl pod maską snu i pod figurą upadku ciała śledzi wciąż jedno. Tam w górze macica śrubna, wkręcona w żelazny słup... Nie widzą jej oczy, nie dotyka jej ręka, lecz zna ją myśl. Wciąż niestrudzone, bezsenne, obłąkane badanie okrąża ją dzień i noc. Mutra zdaje się spać, jako i on. Nieruchoma jest, jako i on ślepa i głucha, jako i on. Lecz pod nią śrubna, wkręcona w słup, już się od targania porusza. Już się porusza...

Tak miną dnie, tak miną noce.

Aż o wysnionym północy, gdy zamieć bije skrzydłami w czuby zamczyska, gdy Poświst łamie lasy i rozjuszony błąka się w puszczech, — natężył Walgierz ramiona, porwał dech w piersi, zestrzelił siły, postawił wszystką moc kości przeciwko wszystkim mocy żelaza i wyrwał śrubę ze słupca.

Skrwawiona dłoń błądzi w powietrzu! A u niej łańcuch zwisa. A u łańcucha śrubna, jak sztylet zwisa. Nogi w dybach, lewa dłoń w zamku, młoty zaklepana, pod pachami obręcz, ale prawica rycerska swobodnym łańcuchem włada.

Śmiech radości!

Porwał się ze snu Wiślimierz. Krzykiem zbudził zamkowe sługi. Strach błady leci w komnaty. Wrzask przerażenia oddaje echo.

Cudna żona w kukki na łożu przypadła. Drży. Wielkimi oczyma patrzy w więźniowy kąt.

Walgierz pieśń śpiewa. Ciemnej nocy i hukowi burzy dziękuje za chwilę. Woła ku sobie wroga, wzywa go na bliski bój. Ścierwo zniewag rzuca mu w oczy. Idą ku niemu siepacze chyłkiem, kupą, wilczymi skoki, ze wszech stron. Pan ich słowem i obietnicą nagrody podjudza. Rzucą się wraz.

Straszliwe ciosy więźniowej prawicy poczęły rozsiewać śmierć. Łańcuch się zmienił w rozszalałą włócznię, a śrubna w koncerz sieczysty i w zdradziecki puinał. Leci na zbirów z wysoka, pada z boku, kołem się wije, z dołu godzi. Pękają czerepy od wielkiego gniewu, zapadają się piersi, zwisają złamane ręce.

Lecz krótka jest chwila szczęśliwej walki — i przeminęła. Nastąpiła inna. Ręka zbroczona przykuta dziesięćkroć, stokroć.

Pan policzkuje zwyciężonego.



Milczenie, co się otwiera, a nie zamyka nigdy... Milczenie, które wstaje i idzie w czarną dal...

Głos słyhać w ciszy.

Poszum-li to wiatru żaloszny, żaloszny?... Świst-Poświst-li to wzdycha u krat, czy jeno serca strudzonego jęk w pustej piersi?

Z głębin wychodzi zmora cicha. Oczy jej kaprawe, jak u mysznieńskiego biskupa, a piersi pełne szlochu. Staną owe oczy, zawalone bryłami łez, naprzeciwko oczu Walgierza, a usta wieszczka płaczącego naprzeciwko ust. Głos kusiciel, głos tajemniczej mądrości przepływa wpośród nocy. Słyszy go Walgierz w głębinie duszy swej, jakoby głos własnego sumienia.

A gdzie na duszę padnie ciężka łza wieszczego głosu, tam wyrasta subtelnie piękny kwiat rozczarowania, szerzą się nikle, urocze barwy zwątpienia. Wokół wyrasta jasna łąka, wirydarz chwiejny, wysoki. Zdaje się oczom w ciemność patrzącym, że widzą wieszcze zioła w podwórku świętej kontyny, zaczarowane kwiaty u źródlisk bijących z ziemi.

Układne badyle i mniemane kielichy, wykwitłe z krwi, co uszła z żył świętych jeleni i w żyły się wtoczyła kwiatowe, wylewają zapach wieczysty.

Szept wokół senny:

— Rycerzu, rycerzu...

Czyliżeś kiedy był za drzwiami jęku, ażaliś wstępował kiedy do ciemnicy serca, co bije ostatni raz?

Gdzieżeś był, noszony przez konie sławy, we wicherach, kiedy żegnał oczyma zorzę niebiosów pobity mieczem twoim?

Czyliżeś słyszał stękanie i trzask stancji złamanej, a szloch i łomot upadającej chorągwi?

— Rycerzu, rycerzu...

Wysłuchaj teraz, jak brzmi tętent odlatującego konia zwycięscy, a jak szcękają podkopy w błonach ucha tego, co został na krwawym polu i cicho sam jeden leży.

Bądź pozdrowiony, samotny!

Bądź pozdrowiony, samotny, od nas, które rośniemy za wrotyma wieczności, a pamiętamy o wszystkim.

Niech się tve serce strudzone uciszy.

Niech dusza spocznie w sobie samej.

Spojrzyj, samotny, strudzony, w źródło wody wiecznie wytryskającej i twarz swoją rozeznaj...

Rzecz pan:

— Azali jeszcze knujesz zemstę?

— Knuję zemstę.

— Oto ci mówię miłościwe słowo. Zważ je w sumieniu, mocno ujmij rozumem. Z włostów odwiecznych idziesz rodu, jako i ja. Aleś upadł z ręki mojej i zwałon jesteś na wieki. Nie będziesz już nigdy księciem na Tyńcu, nad Wisłą białą i nad szumiącymi lasami. Czy mię rozumiesz?

Odpowie więzien:

— Nie.

— Czemuż nie rozumiesz sprawy tak oczywistej?

— Jakże, będąc włostem z krwi pradziadów, mogę zarazem włostem nie być?

— Dlatego nim nie jesteś, że ja jestem tobą.

— Czymże ja się stałem, jeśli ty jesteś mną?

— Jesteś niczem, ponieważ jesteś w kajdanach.

— Czyli się tylko nie mylisz?

— Nie myślę się. Któżby mógł koniądza zabić bez kary? Nikt. Ja zaś mógłbym cię zabić bez kary, a teje chwili mógłbym rozkazać trupa twojego wywlec za próg i rzucić w zgniłą fosę. Jakież tve życie? Skinę i być przestaniesz...

— Skin!

— Zechcę, ażebyś żył w moich oczach wielmożnych, i musisz żyć. Taka ma wola. Tak musisz żyć, jak ja zechcę. Myśl długo nad głębokością mej łaski. Mogę cię zabić i trupa twójego rzucić w fosę, a ja cię życiem daruję i bratem zowię.

— Jakże to mam uczynić, żeby zaprzestać być sobą? Daj mi radę o bracie.

— Daję ci radę: zapomnij!

— A jakże się to czyni, żeby zapomnieć, ty, który wszystko wiesz?...

— Odwróć oczy od rzeczywistości i patrz w złudzenie. Patrz w złudzenie swego majestatu. W złudzeniu jest siła życia. Rycerską wolę, rycerską moc, wszystką rycerską duszę zarygluj w pieśń, podobnie, jak ja ciebie zamknąłem w dyby. Pieśń sobie wyśpiewaj o swej wielkości...

Śmieje się pan.

Więzień zamilkł. Popadł w zadumy, w sny.

Oczy ma w ziemię wbite, plecy zgięte, ręce rude i żelazne, jak zardzewiałe żelazo skoblicy.

Wleczę się jego senna myśl.

— Stołek mój wyniosły uczynił Wiślimierza mądrym, potężnym. Miejsce moje wysokie uczyniło go wielkodusznym. Mógłby mię Wiślimierz zabić bez kary, a dał mi życie. Jest Wiślimierz potężny, mądry i dobry. Jest jakoby ojciec mój rodzony, bo mi życie darował.

Cóżem ja jest, zapomniany? Cóżem ja jest zaiste? Któż mi odpowie? Możem jest zaprawdę nie rycerz i nie woj, możem jest zaprawdę jeno siepacz i sługa?...

Śmieje się kajdaniarz do myśli swej. Podnosi ją ku światłu nędznemu i patrzy w nią krwawemi oczyma.

A w głuchą noc, ciemną noc posłyszają ludzie, że śpiewa samemu sobie:

— Sławo! Sławo!

Nad szyszakiem moim ze stali lustrzanej latałaś, nad piórami zaramiennych skrzydeł były twe drogi. W mieczu-zbójcy, gdym go z pochwy wydzieriał, lubiłaś oglądać oblicze.

Sławo! Sławo!

Tętent kopyt po zeschniętym stepie kochałaś duszą a krzyk mój w wielkim boru nosiły twoje skrzydła promieniste ku odległym plemionom.

— Sławo! Sławo!

Dzisiaj wydartą mam pawęż i szłom i pas. Zakuty jestem w okowy i na ziemi waruję. Podlejszy jestem od psa, co pod cudzym zdycha progiem, bo pod własnym leżę progiem, a nikczemniejszy jestem od lisa, bom w żelazach.

Zapomniała o mnie ziemia rozkwitła i zapomniały śniegi zimowe, woda rzeczna, tonie jeziorzysk i leśna cichość.

Zapomniały o mnie kości, mogiłem próchnem zasypane.

Jestem sam jeden, gdyż opuściła mię dusza moja.

A gdybym podniósł głos tak wysoko, jak lata łamignat orzeł, co się w niebie z lotem oczu ściga, a gdybym rozszerzył głos głęboko, aż ku popieliskom przedwiecznym, nikt wołania nie usłyszy, tylko je słyszę ja, sam jeden.

Wróci się pod serce cielesne moje, skąd wyszło, jakgdyby hak z żelaza.

Spojrzyjcież oczy moje w rzeczy ziemskie nieustraszonym wejrzeniem, a nie przelęknijcie się niczego, cokolwiekbyście ujrzały!

Idę odważny do wrót zawartych nieszczęścia mego i pięścią nieustraszoną zakolące, jakom do wrót starej kontyny kołatał.

Zła moja dola! — rzekł mi wróż.

Wyjdź-że z ciemnej bożnicy, moja zła dolo!

Pokaż się, dolo!

Niechaj cię ujrzą źrenice moje!

Niechaj się tobą nasyci moja zgłodniała myśl. Niechaj cię ujmie dłoń moja chciwa, jakom ujmował zabójczy puinał.

Lecz już się umknął od dłoni mojej rycerski miecz, od boku mego urwał się nocny towarzyszy, puinał.

Zła moja dolo!

Ujmę w dłoń młot najemnego nędzarza.

Na długim łańcuchu leż, a w wiadrze beznadziei spuszczyć się, górnik samotny, w sztolnię czarną, w rozwarty szyb przepaści. Pójdę korytarzami w kamieniu niedoli kutemi.

U boku broni żadnej. Na głowie szyszak pogardy. Z za ramion skrzydła pośmiewiska szeleszczą. Na kościach nic, jeno strzępy poszarpanych lachmanów przepychu ducha.

Nic, jeno w ręce młot, a w oczach płomień.

Nic, jeno w piersiach — samotnego serca łoskot głuchy.

Pójdę, zła moja dolo, do końca.

Zajrzę w komorę tajemną.

Porwę w dłoń wyschlą, w dłoń oszalałą stylisko młota i będę w czarną ścianę tajemnej komory dzień i noc kuł.

Albowiem w czarnej ścianie, ja sam, zła moja dolo, wrośnięty w kamień leżę.

Będę bił niestrudzenie, aż rozwarte oczy wykuję, aż obuchem zwałę w puste piersi kamienne.

Uderzę samego siebie oczyma w martwe oczy i konającą dłonią pochwycę puste, kamienne piersi. —

Słyszy nad sobą znajomy głos:

— Udały...

Zadrzał w sobie, rzekomo ziemia, kiedy ma ogień z głębin wyrzucić, zakipiał, jako morze od wichru. Głos... Podniesie oczy.

Nad nim Mściw z puszczy. Twarz Mściwa mądra, zimna, posępna.

Rzecz:

— Przychodzę cię nawiedzić, Udały Walgierzu.

— Witaj, gościu, co godność moją pamiętasz.

— Bogowie z tobą!

— I z tobą, gościu.

— W złej cię nawiedzam doli.

— W istocie, jestem ubogi, gdyż odwróciły się losy moje. Ale siądź, gościu, i spocznij w dziedzinie mojej.

— Nie twoja to już, bracie, dziedzina.

— Czyjaż, o bracie?

— Mojego i twego pana, Wiślimierzowa.

Zapadł w milczenie Walgierz Udały. Pochylił głowę, zamknął powieki. Zda się gościowi, że więzień śpi. Czas mija.

Rzecz Mściw:

— Nadaremnie, nadaremnie trwasz w uporze.

— Trwam.

— Jakież tve życie!

— Żyję.

— Zapomnij, przyjacielu, o tem, co nigdy już, przenigdy nie wróci.

— Jużem, przyjacielu, o tobie zapomniał i twoje imię już nigdy, przenigdy na wargi moje nie wróci.

— Harda twa mowa.

— Harda jest mowa kajdaniarzy.

— Ta to hardość bezrozumna mocno cię trzyma w skoblach i klubach.

— Ciebieby pęta czterokroć mocniejsze nie utrzymały, giermku Wiślimierzowy.

— Słuchaj mię! Potężny jest Wiślimierz. Naszedł przez sługi swe i włódarze dziedzictwo moje w borach. Otoczył tyn mój tynem straszliwym zbroic. Ile w tynie słupów, tyle chłopów przepotężnych wokoło postawił. A w jednej ręce sprawca ich miał kajdany z żelaza, w drugiej dary ze złota, twojego, bracie, skarbu ozdoby. Więc mi rozum męski nakazał przyjąć dary, uchylić czoła. Cóżem miał czynić, powiedz sam?

— Jużes, zdrajco, powiedział.

Odszedł Mściw.

Snuje samotnik własną myśl, tkankę pajęczą. Spływa na myśli swej w jaskinię wewnętrznej ciemności, jak pająk na nici swej:

— Ach, cóż jest czyn?

Jakże nędzny jest czyn!

Czyn jest nikczemny, czyn jest dostępny dla draba i zbira, któremu sprawca drogę i cel wskazuje.

Król polski niewyciężony, którego cesarz udusić w żelaznych rękach nie może, zląkł się bosego biskupa. A biskup słaby był, jak gąsię w lipcu, jak mucha na jesieni.

Czegóż się zląkł przepotężny? Chudej ręki bezsilnej, gdy się dźwignęła, oczu łzami zasłanionych, gdy wejrzały... —

Snuje więzień wątłą nić swoją:

— Straszny jest widok cierpienia. Niewyciężoną jest zemsta krwi przelanej. Łamie krzywda miecz i trzaska w drzazgi puklerz. Boi się Wiślimierz moich bezsilnych rąk, lęka się mojego jęku nocnego, drży, kiedy wzdycham. —

Wolno z wysokości wierzchnicy Cudna zstępuje.

Sama jedna po stopniach idzie. Skierowała cicho kroki w więziowy kąt. Senne, jedwabne słycać stąpanie, łagodne, jak szelest pajęczej, szkarłatnej pawłoki, co ciało jej królewskie przesłania. Oczy żony wyniosłe, brwi zwiedzione, na ustach niemasz uśmiechu. Spojrzała w oczy nędzarza.

Słowo słycać:

— Łaskę przynoszę.

A gdy ów milczy, groźne pada ostrzeżenie:

— Jeśli będziesz milczał, odejdę. A odejdę nazawsze. Proś mię, a może łaskę proszoną zleję na czoło twoje.

Dusi się rycerz błotem słów, szlocha w sobie, tarza się w barłogu hańby. Aż, przewyciężony od długiej nędzy, wymówi:

— Łaski!

— Masz zniżyć głowę do stóp. Na znak.

— Zniżę głowę.

— Wyrzeczysz się przeminionej sławy i snu o sławie.

Spojrzał w nią Walgierz krwawemi oczyma. We wzroku nanowo kiścienie ze źmij, w zimnym uśmiechu strzała zatruta ciemierem.

— Cóż mi dasz, — pyta, — za przeminioną sławę moją? Za co kupisz mój ostatni o niej sen?

— Będziesz spuszczonej z łańcucha.

— Będę spuszczonej...

— Rozwidnią się nad tobą dni szczęśliwe: pójdiesz za kute drzwi bez straży w ogród wewnętrzny.

Pójdiesz sam jeden w przechadzki chłodne, obrosłe krzewem kaliny, któreś ręko- ma dla mnie sadił. Wspomnisz tam dzieje naszej miłości... Spojrzysz w ogromne niebo świętej Pogody, w puste, szerokie, usłane chmurami, zobaczysz, jak się na krajach ziemi opiera. Będą nad tobą korony drzew... Posłyszysz, jak szeleszczą dostałe trawy w samotni twego ogrodu, gdy go nawiedza cichy wiatr i ciepły deszcz... —

Chichocze Walgierz, śmieje się głucho:

— Posłyszę, jak szeleszczą...

— Straż cię w okowach powiedzie na basztę zamku. Z przeziorów między belkami i z widziorów dachowych ujrzysz głuche, zadumane bory po górach, święte buki po szczytach i szare daleko grzebień skalnych osypisk. Spojrzysz we Wisłę kochaną, jak z pomiędzy lasów, srebrnobiała, kręgiem, półkolem wypływa, jak się u skał falisto zatacza i cicho w puszczy ginie zielonej...

— Cóż ci mam dać za jej widok?

— Oddasz mi, władczyni swej i Wiślimierzowi, panu swojemu, pokłon powinny. Gdy każemy, pójdiesz, jak wierny sługa i jako włodarz, w orszaku. Będziesz u stołu pańskiego obficie jadł i będziesz tęgie wino pił, ile wola.

Duma Walgierz głęboko. Chwieje się jego głowa tam i sam.

— Przysięgę złożysz na wieczny czas, za siebie i za syna, gdybyś go miał z poddanki naszej. A będziesz w poczcie sług jeden z najpierwszych. Przed Mściwem z puszczy staniesz i krok trzymać będziesz w orszaku.

Ścisła Walgierz głowę swą żelazem dłoni.

— Porozec pański poniesiesz i miecz potrzymasz. Strzemię podasz wsiadającemu na koń. I zstąpi na cię łaska pańska. Nie jeden dar cię spotka. Złożysz skarb z darów i z pracy swej, z łupów na wojnie uciulasz mienie. Puści ci wtedy pan osiedle w boru. Będziesz granicy jego strzegł na wzór Mściwa. Jam to dla ciebie uczyniła, ja, Cudna, którą kochałeś i jeszcze w skrytości kochasz. Spójrz na mnie dawnymi oczyma, które-m ongi miłowała. Walgierzu, Walgierzu!

Dla ciebie to uczyniłam, przez pamięć twojej miłości. Wypełnij wszystko, co-m rozkazała.

Czy spełnisz wszystko pod przysięgą? —

Przytakuje Walgierz głową strzaskaną od nieszczęścia, a startą i zdeptaną od niedoli.

Mamroce, sepleni, śmieje się, jąka. Szłocha:

— O, duszo moja, duszo moja... Spełnię wszystko, co-ś rozkazała. Wszystko spełnię pod przysięgą...

Przyszedł Mściw z puszczy dla odebrania od poddanego ślubu pokory. A gdy się zniżył i zagiał obcegi pod spoidła śrub i gdy miał pierwsze rozłamać ogniwa, ujrzał, że oczy Walgierza nie widzą, a z gardła bucha szyderyczy śmiech. Ciało leżało nieruchomo, wyciągnięte w żelazach, jak gdyby na miękkiem łożu. A z warg się zrywał śmiech niegodziwy, śmiech bezsilny.

Zawołał Mściw:

— Wstawaj z barłogu.

— Nie wstanę, sługo!

— Pójdiesz ze mną w ogród zamkowy.

— Nie pójdę, sługo!

— Szalony, cóż zamierzasz?

— Jeszcze, sługo, nie przyszła godzina moja.

— Zgnijesz w barłogu!

— Jeszcze nie przyszła godzina moja. Jeszcze-m się, widzisz, siłami straszliwemi nie podkopał pod samego siebie i jeszcze-m samego siebie z moich kamiennych ramion, z ramion nieżywych i bardzo zgarbionych nie zwałił.

— Cóż myślisz czynić, oblakany!

— Będę, sługo, płakał krwawemi łzami dopóty, aż łzy moje z martwego kamienia wykapią ducha wiecznego.

— A więc — przepadnij!

Cisnął Mściw na zuchwalca gniewny błysk oka i gniewnym znakiem ręki skazał go na zapomnienie.

Więc zapomnieli o nim na śmierć ludzic ziemi. Zapomniał o nim potężny pan — i Cudna żona.

Wzgardzili jego imieniem wygasłem włodarze, męże wojenni, czeladź, żołnierze.

Zapomniało o nim sumienie gminnego ludu i zapomniała skrzydlata pieśń rycerzy po ostrych zamkach — i zmowa nocna — i wieść szeptana w zaułkach wsi — podanie ślepe a głuche — i baśń daleka, baśń ostatnia, baśń wędrownica, kurzem zasuta dróg...

Wlece się długość nocy.

Trwa cisza. Świerszcz jeno, towarzysz jedyny przekłętej doli, niewidzialny świadek bezsennych nocy, skrzypieniem mierzy czas.

Płyną przez ciemność myśli leniwe, ogłuchłe, z wygnitemi oczami. Ponad jeziorem wiecznego rozczarowania wloką się długim orszakiem. Spływa z warg nadaremne westchnienie. Toczy się jęk w dół bez dna.

Obmierzło już szyderstwo, wstręt budzą lzy.  
Ostatek wielebnego męstwa, ostatek pracy...  
Kruszy się i sypie w proch kamień ducha.  
A za kratami głucha noc.  
A za kratami wzdycha wiatr.  
Świst-Poświst do krat przyleciał... Westchnął... Przeszumiał...  
— Świstu-Poświstu... — wzywa ku niemu Walgierz Udały... — Och, wietrze, wietrze!...

Och, wietrze wiosenny, wonny!  
Już na mnie przyszedł czas. Zanieś, wietrze swobodny, królowi polskiemu żegnanie moje. Powieju mu w twarz rozgorzałą. Na skrzydła weź żegnanie moje i na stanicę rzuć... Niechaj zaszumi wielka chorągiew nad dumającą głową królową...

\*

Słyszy Walgierz w nocnym milczeniu szelest kroku. Gniew nim pomiata, że mu ostatni pogwar duszy roztrąca zbir.

Patrzą w mrok z nienawiścią kocie więźnia źrenice, oczy skąpe i podejrzliwe. Badawcze ucho chwytą szept:

— Walgierzu...

Gnuśnie milczy niewolnik. Śmieje się w duszy z szeptu nocnego, czykolwiek jest.

— Rycerzu... — pozywa głos.

Milczy kajdaniarz. Przebiegła jego mądrość, jak niewidzialny szpieg obchodzi wkoło szept, a opasuje go nicmi obojętnego badania.

— Książę!

Ocknął się w piersiach szloch dawny-pradawny.

— Wodzu!

Omdlące serce wzdycha w nocy:

— A choćbyś była złudzeniem ciemności, witaj, maro, co mię pozdrawiasz...

— Piękny!

— Kto-ś jest?

— Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną, a ja w zamian kuny twoje rozłamię.

Szeptane, zimne, przemądrzałe słowo:

— Rozerwij kuny, bym ci uwierzył.

— Dam ci w rękę twój własny miecz.

— Ktośkolwiek jest — daj koncerz!

— Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną.

— Ktośkolwiek jest, przysięgam ci wiarę wieczną, jeno mię puść.

— Twarz moja jest potworna, a ciało krzywe.

— Gdybyś była potworna stokroć bardziej, niż jesteś, przysięgam ci wiarę wieczną, miłość wieczną, — jeno mię puść.

— Jestem straszna i bardzo stara...

— Pokocham cię, jeno mię puść.

— Jam to jest Wiślimierzowa rodzona siostrzyca. Imię me Zdrada.

— Piękne jest imię twoje, kochanko Zdrado. Obejmę cię uściskiem, — jeno mię puść.

— Jeśli mię weźmiesz za żonę, tem oto dłutem i obcęgami, które Mściw piastuje, odkręcę śruby, rozłamię ogniwa kuny.

— Żono ma wieczna, odkręc śruby zardzewiałe. Oto ręce pragnące uścisku...

— Przysięgaj na miecz rycerski, na pawęż...

— Przysięgam na miecz rycerski, na pawęż i na pas, że cię na wieki poślubię, o, Zdrado, jedyna, co-ś mnie w ciemnicy nie zapomniała...

Wtedy odemknie siostra Zdrada kluczem ze skarbcza wykradzionym zamki klubów, a zardzewiałe mutry odkręci, spojenia zaklepane rozłamię.

Ręka Walgierza w przestworzu błądzi...

Popręg żelazny z pod ramion spadł jak pas niciany. Z gardzieli kuna odeszła, jak miękki kołnierż. Z nóg się zsuwają żelaza...

Namacał rycerz w ciemności kurczem miłosnym głowicę wielkiego miecza, co go ze skarbu wykradła kochanka Zdrada.

Na głowę wdziewa swój własny, olbrzymi szłom. Okrywa w nocy pośpieszną dłońią piersi blachami. Goleń opasze plechą. Wdział rękawice żelazne.

Wstał z ziemi.

Westchnął.

W barach się olbrzymich przeciągnął.

Szepce ku niemu miłosne słowa kochanka.

Pochwycił rycerz prawicą gardziel siostrzycy Wiślimierzowej, Zdrady.

Zdusił ją na śmierć, zanim krzyk wydała, zanim wydała dech. Rzucił targań od karczów śmiertelnych w swe legowisko, w łożę boleści, wysiedziane w kamieniu, — z chichotem twardym zwycięscy.

Już stąd odejdzie!

Krok jego dźwięczy i trzaska, kiedy w milczeniu idzie olbrzymi przez mrok w łożnicę małżonki swojej.

Rozdarł kotarę.

Zerwał lampę ze ściany i w oczy śpiącym przyświeca.

Krzyk jego lwi:

— Ocknij się, Cudna, duszo moja!

Porwą się śpiący. Szept białych warg... Dygocą bezsilne ręce. Patrzą w przybysza skostniałe oczy.

— Cóżbyś powiedział, władco na Tyńcu, gdyby cię koniądz Walgierz ze snu twardego przyszedł budzić? Wrócił już Udały Walgierz z wyprawy dalekiej. Obszedł już kroki pracowitemi świat. Był daleko, — och, daleko! Był głęboko — och, głęboko! Widział już oczyma własnymi wszystko, na własne uszy wszystko słyszał.

Wstań, bracie! —

Uniósł z nad czoła ciężkie szłomu żelaza i straszne jamy oczu odsłonił.

Śmiech jego — ryk tygrysa.

Podźwignął miecz i od straszliwego zamachu rozdarł, rozszarpał drgające ciała.

Jak strzelenie piorunu, rozlega się jego krzyk po wnętrzach zamku, leci w sale, kruzganki. Ciosy miecza budzą zdrajców na chwilę, by im śmierci błyskanie pokazać.

Pada przed nim gawiedź na twarz.

A inni rozewrą na ścieżaj drzwi, a inni cześć mu wyją, a inni za nim kroczą, jako radosny hufiec poddanych.

Idzie Walgierz wielkimi kroki przed siebie.

Spadł aż do drzwi podziemia.

Wyrwał je z zawias.

Tam oto, w lochu mogilnym, brat Wydrzyoko gnije. Oczy jego, jak próchno, w ciemności świecą.

Rozerwał Walgierz mieczem więzy. Chwytał współbrata w ramiona.

Szepcą, szlochają...

Wstępują dwaj po stopniach zalanych krwią. Idą w kruzganki zasłane trupami, w dziedzińce wiślańskiego zamczyska, w sienie, w bramy, przez mosty, w świat...

Na wzgórzu, skąd widać zgłiszczca tynieckiego zamczyska, stał Walgierz Udały. Mocny, bojowy koń spienioną zuchwą gryzł wędzidło, a ziemię pod sobą kopytem niecierpliwie bił.

Wiatr wzdymał i szarpał zwisłą grzywę rumaka i wielobarwne pióra rozwiewał bujnie na przylbicy książęcej. Tuż przy koniądzu siedział w siodle Wydrzyoko. Za nim orszak bojowników zatoczył półkole.

Milczą rycerze, szanują wodza dumanie głębokie.

Głęboko duma Walgierz, patrząc w dymy skłębione, w słupy iskier dalekie.

— Pójdziemy teraz, wiciądzu, — powiada Wydrzyoko, — na nowy bój, na żywot nowy. Nowe w puszczy na wysokościach wyrąbiem toporem polany. Nowe osiedla założym. Nowe gniazda dla ludu gminnego. Nowe zamki strzeliste wzniesiemy ponad cyplami stromych skał.

— Tak, bracie, nowe zamki!

— Uderzymy w ziemię nieżywą, w ziemię jałową, w ziemię płoną, ostrzem narzędzi z żelaza i dobędziemy z jej łona śpiew rozkochanych niewiast, gwar dzieci i wielki hymn mężów, schylonych nad zagonami złotej pszenicy i żyta, co się srebrzy pod niebem. Od naszych czynów, wodzu, poczną się nowe dzieje! Z naszych ramion zstąpi na ziemię pokolenie potężne i piękne. A ono będzie twórcą pokoleń, których pochod nieskończony iść będzie w wieczność pod niebem świętej Pogody.

— Tak, bracie mój!

— A tyś to sprawił. Wielki zamach twojego miecza czcić będą w pieśni nigdy nie umierającej pokolenia szczęśliwe, kiedy się po pracy zejda na polanach wiecowych. Jesteś wielki, jako ta nieobeszła ziemia, wysoki, jak Tatry-góry.

Cicho, cicho ku zgliszczom zaśmiał się Walgierz Udały. Jego ręka żelazna szarpnęła wodze konia. Miecz w strzemię trzasnął.

Zadumane oczy przebodły dymy i zduszone płomienie. Wyciągnął dłoń:

— Tam moja wielkość... — wyrzecze z głębokiego śmiechu. — Do słupa moja wielkość przykuta. Nowe zamki, jakoby gniazda orłowe, wydzwignę na szczyty gór, nowe sioła rozsadzę po puszczy, jak ule pszczół, pszeniczne i żytnie ziarno rozsieję po stokach, gdzie rośnie jałowiec, po nizinach, kędy kwitną kaliny...

Lecz już wielkości nie zaznam.

Wielkość moja do słupa żelaznego przykuta, w tamtych się dymach ogniem przepała.

—

— Pójdziemy, wiciądzu, polskiego szukać króla!

— W jakiej też stronie, w którym też boru, z jakimi wrogi wojuje wielki król? Gdzie słyhać krzyk skrwawionych pułków, pieśń bojową, wielki wrzask trąb? Z której też strony nadleci echo?

Pójdziemy, bracie, w ciemną głuszę świętej góry i bogi krzykiem zwołamy.

Nad przyszłością pokoleń ich wieczną osadzimy stolicę. Tam-to w kontynie wieszczowej, starej, pod cieniem buków, nadleci ku nam Poświst-wiatr. Nadleci ku nam z końca świata, echo przyniesie, kędy w lasach polski król...

Powiem królowi prawdę głęboką, prawdę, co się tam oto pali.

Otworzę królowi oczy jasne... Pokażę królowi kamienną duszę...



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/powiesc-o-udalym-walgierzu>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, Powieść o udułym Wulgierzu w: Utwory epickie Stefana Żeromskiego wydane w dziesiątą rocznicę odrodzenia państwa polskiego: Powieść o udułym Wulgierzu, Aryman mści się, Godzina, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa 1929

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-1053-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).